

## **Wspomnienie pośmiertne Profesora Pużyńskiego**

### **In Memory of Professor Pużyński**

Całe moje życie zawodowe było i nadal jest związane z postacią Profesora Stanisława Pużyńskiego. Był moim pierwszym nauczycielem, promotorem doktoratu, opiekunem habilitacji. Ale był także kimś o wiele więcej – kształtował wiele moich poglądów, nie tylko na psychiatrię. Dorosłem przy Nim i zestarzałem się nieco.

Był, a teraz Go już nie ma, w związku z tym czuję się upoważniony do tego, żeby przybliżyć Jego osobę tym, którzy całkiem Go nie znali, albo tym, którzy znali Go jedynie pobieżnie, oficjalnie. Profesor nie był człowiekiem łatwym do poznania, trudno byłoby Go nazwać serdecznym czy przyjacielskim w potocznym tych słów znaczeniu. Z całą pewnością nie był bratem-lata, za co zresztą między innymi bardzo Go szanowałem i co w Nim ceniłem. Tym bardziej uważam za usprawiedliwione wszelkie próby przybliżenia tej tak ważnej dla polskiej psychiatrii postaci jak największej liczbie osób.

Profesora Pużyńskiego poznałem wczesną jesienią 1986 roku. Dobrze pamiętam to spotkanie. Przyjął mnie w swoim dawnym gabinecie na parterze Instytutu Psychiatrii i Neurologii (potem przez wiele lat zajmował inny gabinet, na pierwszym piętrze). Miał tego dnia na sobie swoją ulubioną zieloną kamizelkę z jakiegoś takiego pluszowego materiału. Kamizelka była już mocno zużyta i widać było, że jest to ukochany element stroju. Spodobała mi się na pierwszy rzut oka. Miała styl. Według dzisiejszych standardów była niemal na pewno hipsterska.

Już widzę, jak Profesor, czytając te słowa w zaświatach (a czyta na pewno, bo zawsze czytał wszystko), puka się w głowę i planuje jak mnie ochrzani. Tak zawsze z nami było. Ja pisałem, a On prostował moje ścieżki. Ja miałem natchnienia, a On przywoływał mnie do porządku. Ja koniecznie chciałem coś zburzyć, On pilnował, żebym się przy tym nie pokaleczył. To niezwykle cenne móc liczyć na taką pomoc.

Wracając do pierwszego spotkania – jeszcze lepsze były profesorskie buty. Były to ni mniej, ni więcej, tylko klasyczne „zamszaczki” – miękkie, zamszowe, dość wysokie buty, które w tamtym czasie stanowiły niemożliwe do zrealizowania marzenie takich smętnych młodzieńców jak ja. Prawdziwe zamszaczki... Nie mogłem przejść obok tego obojętnie. Profesor coś do mnie mówił, ale tego akurat za bardzo nie pamiętam, byłem bowiem młodzieńcem tyleż smętnym, co płochym. Pamiętam tyle, że spytał, czy interesuje mnie praca naukowa. Odpowiedziałem z pełnym przekonaniem, że nie i to w żadnym stopniu. „Bardzo dobrze, czyli zajmie się pan pracą naukową?” – odpowiedział Profesor, który tak jak niemal wszyscy ludzie słyszał zwykle to, co chciał słyszeć... I dobrze dla mnie.

Minęło kilka lat, podczas których głównie starałem się schodzić Profesorowi z drogi. Coś tam dłubałem, coś robiłem, ale jakoś mi się nie wydawało, żeby miał być z tego szczególnie zadowolony. Często powtarzał mi, że próbuję siedzieć na zbyt wielu stołkach naraz i muszę wybrać oraz „się poświęcić” – nie bardzo mnie to przekonywało. Doszedłem do wniosku, że nauka musi być jakiegoś rodzaju zakonem, a ja się do niego nie pisałem. Z pewnością – dla Profesora zakonem ona była i to mocno klauzurowym.

Profesor zostawiał mnie przez dłuższy czas w spokoju. Nie miał zwyczaju dręczyć ludzi na korytarzu czy odpytywać przed frontem oddziału. Wręcz przeciwnie, w każdej nawet bardzo drobnej sprawie wzywał do siebie do gabinetu i zwracał uwagę bez świadków i zawsze niezwykle spokojnie. Bardzo tego przestrzegał. Trudno mi więc nawet przekazać, jak bardzo byłem zdumiony, kiedy na kolejną moją odpowiedź, że z doktoratem to ja chyba jeszcze poczekam, Profesor stanowczo i tym razem na korytarzu powiedział: „Gdybym był nieco wyższy i silniejszy, to dałbym panu w łeb!”. Szczerze mówiąc, dopiero wówczas zrozumiałem, że naprawdę Mu zależy. I to bardzo. Nie miałem pojęcia, że aż tak. W zasadzie następnego dnia zacząłem badania do doktoratu i właściwie dalej poszło już szybko. „Groźba” fizyczna zadziałała dlatego, że była przekazana z miłością. Nigdy przedtem ani potem nie widziałem u Profesora tylu emocji, co oczywiście nie oznacza, że ich nie miał, ale z pewnością nie lubił ich okazywać.

Wyjątkiem były pewnie nasze rozmowy o wnukach – przez ostatnie pięć lat obaj byliśmy dziadkami i to też bardzo nas łączyło. Każde nasze spotkanie niezmiennie wiązało się z prezentacją zdjęć (wielu moich, pojedynczych ze strony Profesora). Zawsze były też pytania o zdrowie wnuków. Nie rozmawialiśmy natomiast o zwierzętach domowych, a to od czasu, kiedy ulubiony chomik Profesora odszedł w niejasnych, o ile pamiętam, okolicznościach. Nie przypuszczałem, że Profesor tak przeżyje śmierć chomika, była to jedna z tych niewielu sytuacji, kiedy na chwilę zniknęła zasłona, którą zwykle utrzymywał.

Pisząc o zmarłych, wspominam się zwyczajowo jedynie rzeczy dobre, jednak portret osobisty Profesora nie byłby nawet zarysem, gdybym nie wspomniał o czymś, co sam uważał za wielką wadę i słabość. Przez wiele lat nałogowo palił, czego zupełnie u siebie nie akceptował, ale z czym bardzo długo nie mógł sobie poradzić. Kilka miesięcy po tym jak rzucił palenie, spytałem (byłem jeszcze wówczas entuzjastą nikotyny), jak sobie radzi. Powiedział: „Poradzić sobie to nic takiego, ale jeszcze potem znaleźć sens życia...”. Nie wiem, czy pod wrażeniem tej deklaracji, ale wkrótce potem miałem sen, w którym Profesor występował jako gajowy (pewnie z powodu tej zielonej kamizelki, choć już od lat jej nie widywałem) i przyjmował mnie w leśniczówce, paląc papierosy i zaciągając się głęboko. Następnego dnia opowiedziałem Profesorowi ten sen. „Kolego” – odpowiedział – „co za wspaniały sen, niech mi pan to jeszcze raz opowie, tylko w pańskich snach mogę palić całkowicie bez poczucia winy”. Opowiadałem Mu go jeszcze kilka razy.

Oczywiście Profesor Pużyński był także autorem, konsultantem, członkiem zwyczajnym i honorowym, promotorem i kim tam jeszcze, ale ja chciałem się skupić bardziej na tym, jaki był naprawdę i nieoficjalnie, czyli tam, gdzie prawie nikogo nie wpuszczał. Gdyby nie Jego osiągnięcia zawodowe, nie byłby dla mnie autorytetem, to jasne, ale gdyby nie był takim człowiekiem, jakim według mnie był, to nigdy bym się od Niego nie nauczył najważniejszych rzeczy. Mówiąc językiem, który z pewnością znalazłby akceptację Profesora – nie chodzi tu o rolę dydaktyczną, ale formacyjną. Tak z perspektywy lat i z perspektywy tego pożegnania myślę i z tym zostaję, oczekując następnego spotkania.

**Łukasz Świącicki**